Rok VII. Dnia 8 (20) Lutego 1886 r. № 8.

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica **Mazowiecka Nr. 10** nowy.

Doświadczenie fizyczne.

DOŚWIADCZENIE FIZYCZNE.

Weźmy tafelkę szklaną i trzymając ją w położeniu pionowém na stole o ciemnéj powierzchni, umieśćmy obok niéj po jednéj stronie jakikolwiek drobny przedmiot. Patrząc w tafelkę z boku, w pewnym kierunku, na który łatwo natrafić, obaczymy wyraźnie po drugiéj stronie odbicie tego przedmiotu, jakby w zwierciedle. Bo też w rzeczy saméj dzieje się tu zupełnie toż samo, co w zwierciadłach; promienie światła, wychodzące od owego przedmiotu, odbite potém od gladkiéj powierzchni szkła, powracają do naszego oka, a ponieważ szkło jest przezroczyste, więc obraz ten widzimy z tyłu, po drugiéj stronie tafelki. W zwierciadłach prawdziwych wydaje się tak samo, że odbicie przedmiotów znajduje się aż za zwierciadłem; tu i tam bowiem obraz ten jest urojony, wytworzony z promieni, które od gładkiéj powierzchni się odbijają, zawracają w kształcie kątów geometrycznych i wpadają do naszego oka.

Duże szyby w oknach sklepowych przedstawiają toż samo zjawisko. Siedząc wieczorem w takim sklepie oświetlonym, widzi się przez szyby, niby w zwierciedle, to co się wewnątrz dzieje, a zarazem i to, co się ukazuje na ulicy. Wygląda to czasem bardzo zabawnie, gdy urojone, zwierciadlane obrazy mieszają się z obrazami rzeczywistemi.

Rycina nasza przedstawia dowcipny przyrząd, ułatwiający naukę rysunku. Polega on na téj zasadzie odbijania promieni światła, którąśmy opisali powyżéj. Wzór rysunkowy,

umieszczony po jednéj stronie tafelki, ukazuje się po drugiéj stronie tak dokładnie, że może być przerysowany. Niejeden młodzieniec, znający się cokolwiek na mechanice, potrafi zapewne z deseczki i tafelki szklanéj sporządzić coś podobnego dla siostrzyczki.

PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dalszy ciąg).

Już tydzień upłynął od powrotu panienek z Warszawy, Hanka zabrała się nie na żarty do gospodarstwa, wszędzie jéj było pełno, we wszystkiém dawała sobie radę, wstawała ze wschodem słońca, biegła zaraz do sklepu, by odebrać mleko i saméj go przecedzić, z dawniejszego pozbierać śmietanę, by za chłodu rannego zrobić masło, i ogrzać resztę mleka na sery i gomółki. Pani Krystyna mogła spoczywać dłużéj trochę, bo Hanka tak serdecznie prosiła o to matki, że musiała spełnić wolę dziewczęcia, widząc, jak dzielnie ją zastępuje i umiejętnie chodzi koło wszystkiego. I Tereni nie pozwalała wstawać razem z sobą, zaraz na drugi dzień przyszła do jéj łóżka, a gdy ujrzała, że przeciera oczy i z westchnieniem cichém zabiera się do wstawania, całując ją po macierzyńsku w czoło, rzekła pieszczotliwie:

— Śpij jeszcze z godzinkę, siostrzyczko, jesteś szczupła i niezbyt silna, potrzebujesz więcéj snu odemnie, nie chcę, abyś zmizerniała, i martwiła nas wszystkich, już ja dam sobie radę bez ciebie.

Terenia z wdzięcznością przyjmowała to pozwolenie, i zasypiała na nowo, nie na godzinkę, ale na dwie nawet. Dnia jednego Hanka, jak zwykle, wracała ze sklepu, pobrzękując kluczykami, i opowiadając coś Małgosi, która z ogromną dzieżką mleka szła przy niéj, gdy p. Kazimierz, wracający właśnie z podwórza, spotkał się z siostrzenicą w ganku.

— Czy nie sprzykrzyło ci się jeszcze, Haniu, to ranne wstawanie? — zapytał z uśmiechem, całując w głowę mówiącą mu „dzień dobry" panienkę.

— Sprzykrzyło? — zapytała, spoglądając na wuja ze zdziwieniem — czy wujcio myśli, że ja mą pracę uważam za zabawkę, którą można porzucić, gdy się znudzi?

— Myślałem, żeś się trochę od gospodarstwa odzwyczaiła w Warszawie, i że cię ono zajmować już tak nie będzie — rzekł p. Kazimierz, siadając na ławeczce.

— Dlaczego nie miałoby mię tak zajmować, wujciu — rzekła Hanka, zabierając miejsce naprzeciw wuja — alboż pojechałam do Warszawy po to, aby się odzwyczaić od pracy i obowiązku?

— Więc nie polubiłaś bardzo miasta?

— O nie, tęskniłam bardzo za naszém cichém życiem, już mnie Pan Bóg stworzył na mieszkankę wioski — odpowiedziała, spoglądając z lubością na pole, i las, zieleniący się w pobliżu. — W mieście żyłam życiem gorączkowém, bo pragnęłam jak najwięcéj się nauczyć, jak najwięcéj korzystać ze wszystkiego, aby naukę mą i wiedzę, jakiéj nabyłam z twéj łaski, wujciu, zużytkować tu, w naszém kochaném zaciszu.

— To dobrze, Hanko moja — rzekł p. Kazimierz poważnie — to dobrze, że masz tyle zamiłowania do pracy, i o ile mi się zdaje wytrwania, bo może przyjdzie nam bardzo ciężko pracować, może będziemy potrzebowali wiele siły, wytrwania i energii, aby sobie zapewnić byt, i nie upaść w walce o niego.

— Co przez to rozumiesz, wujciu? — zapytała Hanka, patrząc badawczo na wuja — alboż nie mamy bytu, który tylko pracą podtrzymywać musimy? nie rozumiem, co mogą znaczyć twe słowa.

— Smutna to będzie chwila, gdy je zrozumiesz, dzieweczko.

— Wujciu, mów jaśniéj, mów mi wszystko odrazu — rzekła zaniepokojona nieco Hanka, choć tego okazać po sobie nie chciała. — Czy nam co grozi strasznego?

— Boleśnie mi mówić z tobą o tém — rzekł p. Kazimierz — a jednak muszę ci powiedzieć, że nadeszła chwila ciężkiego dla nas doświadczenia. Ty, Hanko, jesteś mężna, ty wszystko znieść potrafisz, ale Terenia, biedna Terenia, jak przyjmie to, co nas czeka?

— Wujciu, dręczysz mię, nie mówiąc tego czegoś strasznego — rzekła Hanka, podnosząc się z miejsca i stając naprzeciw wuja — niechże raz zajrzę temu widmu w oczy, może ono mniéj straszne, niż sobie wyobrażam.

— Hanko moja, znam cię, żeś silna i energiczna — mówił powoli p. Kazimierz — a jednak... jednak ciężko mi bardzo wypowiedzieć wszystko.

— Gdy przecie masz mi to powiedzieć, wuju — rzekła trochę niecierpliwym głosem Hanka — dlaczego nie powiesz odrazu? Powiadasz, że jestem mężna, że jestem silna — a głos jéj drżał mimowoli—a więc, wujciu, powiedz mi wszystko, powiedz bez żadnych ogródek i wstępów, które mię męczą nad wszelki wyraz.

— Niechże tak będzie — rzekł p. Kazimierz, podnosząc się z miejsca — a więc, Hanko, straciliśmy wszystko, i nie mamy dachu własnego nad głową, nie mamy nic.

Hanka patrzała na mówiącego szeroko rozwartemi oczyma, twarz jéj pobladła, a usta drżały.

— Nie mamy dachu własnego — wyrzekła po chwili, a łzy spłynęły z jéj oczu — o moja matko, babuniu, co z wami będzie!

— Płaczesz? — zapytał pan Kazimierz — gdzież twoje męztwo? gdzie ta pogarda wszystkich nieszczęść? przecież wszyscy zdrowi jesteśmy.

— O matko moja! biedna matko moja — wyrzekła po raz drugi dziewczyna, załamując ręce nad głową — teraz, gdy marzyłam dla ciebie o życiu spokojniejszém, o wypoczynku po tylu trudach, zostajemy bez dachu. Czy mateczka wie o tém? — zapytała, patrząc na wuja załzawionym wzrokiem.

— Wie — odpowiedział p. Kazimierz — taiła to jednak przed wami, byście choć dni kilka użyły przyjemności powrotu do domu.

— Którego już nie mamy — wyrzekła z goryczą Hanka. — powiedz mi jednak, wujciu, czy niema żadnego wyjścia z tego rozpaczliwego położenia? czy niema ratunku?

— Mógłby być — odpowiedział — mogłoby wszystko pozostać nadal, jak dotąd, ale matka wasza nie chce na to przystać.

— Usiądźmy tu jeszcze, muszę wiedzieć odrazu wszystko, wszystko, a ty, wujaszku, opowiedz mi przyczynę naszéj ruiny.

To mówiąc, usiadła na ławeczce, pociągnęła wuja do siebie, i rzekła cichym głosem:

— Mów, wujciu, ale wszystko, zupełnie wszystko.

Pan Kazimierz potarł ręką po czole, i biorąc rękę Hanki w swe dłonie, mówił:

— Parę tygodni temu, zgłosił się do twéj matki niejaki pan Szymon Siarski, mówiąc, jakoby ś. p. mąż jéj był mu winien dziesięć tysięcy rubli. Suma to pokaźna, jak widzisz, i zapłacić jéj Krysia nie byłaby w stanie. Biedna kobieta na razie nie wiedziała co na to powiedzieć. Nie pamiętała, aby mąż kiedykolwiek mówił o podobnym długu, byłaby przecie wiedziała coś o tém, chyba, że taił to przed nią, aby jéj oszczędzić zmartwienia; ale znów z drugiéj strony nie rozumiała, dlaczego upominający się o dług tak znaczny teraz dopiero się zgłaszał. Gdy więc przyszła do siebie po pierwszém przerażeniu, zapytała o rewers, bo przecież niktby nie pożyczył pewnie na słowo tak znacznéj sumy obcemu człowiekowi. Wtedy p. Siarski wyjął gruby pugilares, a z niego zżółkły już trochę papier, i rozwijając go powoli, położył na stole przed Krysią. Spojrzała i poznała, że to było pismo jéj męża, rewers wystawiony na sumę, jakiéj się dopominano.

Na zapytanie, dla czego nie zgłaszał się przez lat tyle, choćby o procent tylko, Siarski odpowiedział, że rewers ten dostał mu się po jego wuju w sukcesyi teraz dopiero, a dla czego nieboszczyk siedział z tym rewersem cicho, to już nie jego rzecz. Matka wasza mogłaby długu tego nie zapłacić, bo mąż na rok przed śmiercią cały majątek zapisał na jéj imię, ale czy może to uczynić?

— Niech Bóg broni! — wykrzyknęła Hanka — matka nasza czynu takiego popełnić nie może, i wiem, że go nie popełni, choćbyśmy wyszli z domu naszego w jedném odzieniu tylko.

(d. c. n.)

KRAJOBRAZ SZWAJCARSKI.

Okolice górskie słyną z piękności swych widoków, a najwięcéj uroku im nadaje obfitość wód, jezior, szemrzących strumieni, potoków, z hukiem spadających ze stoków wyżyn. Woda ruchliwością swą i szumem niezmiernie ożywia krajobraz i malowniczość jego podnosi. Z gór europejskich najwspanialsze ogromem i pięknością są Alpy szwajcarskie. Zamiast szczegółowego opisu krajobrazu, przedstawionego na rysunku, podajemy wam prześliczny wiersz Juliusza Słowackiego, ustęp długiego poematu pod tytułem: „Szwajcarya". Wiersz ten daleko lepsze od wszelkich opisów daje wyobrażenie o pięknościach gór.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconéj głowie —
Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic jéj nie zburzy i nic jéj nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,
Szczypać kwitnące róże i leszczyny,
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.

Nieraz młodzi czytelnicy przesyłają nam próbki swoich wierszowanych utworów, a potém zapytują, dlaczego ich nie chcemy drukować i odpowiadamy zazwyczaj, że to nie jest prawdziwa poezya, chociaż wiersze mają jednakową liczbę zgłosek i rymów w nich nie brak. Radzimy tym wszystkim początkującym wierszopisom odczytać uważnie ustęp powyższy, a obaczą, jak to genialny poeta umie wykryć i czuć głęboko piękność obrazu, na który człowiek pospolity patrzy nieraz obojętnie. A niedość na tém, że posiada poczucie piękna i sam zachwyca się urokiem tego obrazu, lecz umie własne wrażenia swoje wyrazić wzniosłemi, pięknemi słowami, a tym sposobem przelać te wrażenia w czytelników, odsłonić przed oczyma ich duszy to, co sam tak dobrze czuje. Kto ma choć troszkę poetycznego usposobienia, z pewnością czytając ustęp powyższy przedstawi sobie w wyobraźni tę cudną tęczę, zawieszoną nad kaskadą, to białe jagnię, gołębia, migającego wśród blasków tęczowych, i czuć będzie tę piękności, jakby razem z poetą ten widok oglądał naprawdę. Otóż to jest prawdziwa poezya.

SPRYTNY WAŁEK.

KOMEDYJKA W TRZECH AKTACH

przez **Kazimierę.**

(Dalszy ciąg).

ZDZIŚ *(poważnie)*.

Tyle chociaż szczęścia, że jest między nami osoba posiadająca język angielski *(do Halinki, która trochę zmieszana skubie kwiatki z bukieciku)*. Myślę, że panna Halina bardzo ucieszona przybyciem téj miss angielskiéj, czy zgadłem?

WACIO *(wesoło)*.

A! prawda, ależ to wybornie, że Halinka mówi po angielsku, będzie nam tłómaczyła wszystko, a zarazem będzie wyborną towarzyszką dla téj pani. Nie pisała ciocia, jak się nazywa?

ECIA *(spogląda nieznacznie na Halinkę i uśmiecha się)*.

I owszem, nazywa się Lena Grandison.

WACIO *(do Halinki)*.

Widzisz więc, kochana kuzyneczko, jak to dobrze się złożyło; będziesz miała z kim rozmawiać językiem, którego my nie znamy *(spogląda na Zdzisia i daje mu znaki porozumienia)*.

ECIA *(kładąc rękę do kieszonki fartuszka)*.

Ach! jakaż ja jestem roztrzepana, patrz, Waciu, jeszcze jest list do ciebie, podobno od Florka.

WACIO.

List od Florka! ależ dawaj, szkaradna siostrzyczko! *(bierze list, rozwija i czyta, śmiejąc się nieraz głośno)*.

ECIA *(do Halinki)*.

No i cóż ty na to, Halko moja, miła bardzo niespodzianka, n'est-ce pas? *(zatyka ręką usta i spogląda na Wacia)* no, szczęście, że czyta. Powiedz mi, czy bardzo się cieszysz z przybycia miss Leny?

HALINKA *(niechętnie)*.

Cóż mię może obchodzić obca osoba, nie znam jéj, a zresztą... *(zakłopotana)* to jest... przecie wiesz.

WACIO *(składając list)*.

Wybornie! jak widzę, będziemy mieli u siebie niemal wszystkie europejskie języki, bo oto pisze Florek, że przywozi z sobą walnego chłopca w naszym wieku, ale biedaczysko mówi tylko po włosku, co zresztą nic dziwnego, bo to Włoch prawdziwy.

ZDZIŚ *(ironicznie)*.

Co za szczęście, powtarzam raz drugi, co za szczęście, że panna Halina zna tyle języków! i tu będziemy się uciekać do jéj łaski, prosząc o tłómaczenie.

WACIO.

Trzebaby jeszcze, żeby w nasze progi zawitała jaka Greczynka, bo słyszałem, jak Halinka mówiła w niedzielę, że i ten język nie jest jéj obcym.

HALINKA.

Ach, mój Waciu, dajże mi pokój, przecież nie możesz wymagać, żebym za wami chodziła, służąc za tłómacza.

WACIO.

My będziemy przychodzić do ciebie, chcąc już koniecznie coś zrozumieć.

ECIA.

Chodź już, Halinko, niema z Waciem co mówić, jak się uweźmie na co, to ciągle jedno powtarza. Do miłego widzenie, szanowni panowie *(kłania się)*.

WACIO.

Moje uszanowanie paniom dobrodziejkom.

ZDZIŚ *(z ukłonem)*.

I moje także.

HALINKA *(z grymasem)*.

Au re... *(nie kończy, odwraca się i wychodzą)*.

Scena V-ta.

ZDZIŚ I WACIO.

ZDZIŚ *(śmiejąc się)*.

Trochę panienka w kłopocie, no i ma czego, jeżeli, jak mówisz, zna tylko język francuzki.

WACIO.

No i niemiecki po trochę. Ciekawy jestem, na czém się to skończy. Ale zkąd ciocia nazbierała tych cudzoziemców, jakoś nie mogę tego pokombinować.

ZDZIŚ.

Może to żart jaki?

WACIO.

Ale czyj, przecież nie Eci.

Zdziś.

A może?

Wacio.

To już chyba prędzéj Jadwinia za wiedzą mamy. Ecia nadto roztrzepana, nie umiałaby udać.

Zdziś.

To być bardzo może, ale... nie, przecież masz list od Florka.

Wacio.

Ba, prawda, chyba... że i Florek należy do zmowy.

Zdziś.

Kto wie, może i należy.

Wacio.

W takim razie, to byłby związek ogromny i... tak... tak, z pewnością, należy do tego i matka Halinki, ciocia Lińska, która zawsze się martwi temi wadami swéj córki. Czy wiesz, że chcieli już wujostwo, aby przestała uczyć się obcych języków, ale moja mama wyperswadowała. Tak, tak, to zmowa na Halinkę, wybornie!

Zdziś.

Zatem, kiedy ci los tak posłużył, to może już nie potrzebny ten list, który ma oddać Walek.

Wacio.

Co ci tak ten mój Walek z myśli nie schodzi.

Zdziś.

Bo przeczuwam, że on ci piwa nawarzy, już daruj, ale ten twój Walek...

Wacio *(przerywając)*.

Jest! znów Walek, nie bój się, wszystko będzie dobrze *(słychać dzwonienie za sceną)*. Ho, ho, to już i południe, dzwonią na obiad, a powiadają niektórzy, że czas żółwim wlecze się krokiem.

Zdziś.

Chodźmy więc, nie należy się spóźniać.

Wacio.

A więc chodźmy.

(wychodzą).

Akt trzeci.

Scena I-sza.

(Pokój ten sam, Walek kładzie na stół serwetę, pociąga, to z jednéj strony, to z drugiej, odstępuje parę kroków i przygląda się).

Walek.

A zeby cię... zeby cię... tu pociągnę, tu krótko, tu pociągnę, to tu krótko, a zeby cię, a toz wolałbym całe zycie paść gęsi, jak się sykować na tego tam lokaja, *(poprawia znów serwetę, pociąga jednak zawiele i zawsze mu brakuje to z jednéj to z drugiéj strony)*. Marności, i syrwyta swoje *(słychać głos za sceną:)* „Walek! a śpiesz się tam niezdaro, pókiż będziesz kładł te serwetę, chodź prędko po szklanki". *(Walek ogląda się z przestrachem)*. O rety! juz znów Paweł ksycy, a zeby go robaki nieoglądały, a zeby go śnig spalił, a to ci gadzina nie człowiek. Spiesę się, co wej ledwo się duch we mnie kołace, a ten się dze i dze, jak opętany *(mówiąc to, ogląda się ciągle na drzwi)*.

Scena II-ga.

Walek i Wacio.

Wacio *(wbiegając z listem w ręku)*.

Jesteś tu, Walek, a to dobrze, czy prędko będzie podwieczorek?

Walek *(obchodzi stół ciągle)*.

A dyć sykuję i sykuję, jak wej pociągnę z jednéj strony, to ci z drugiéj krótko; jak ci wej pociągnę z drugiéj, to ci z téj krótko i męce się i męce, bo Paweł zara wymyśla, jak ta tam syrwyta nie lezy akuratnie.

Wacio *(nie uważając, co Walek mówi)*.

Słuchajno, Walek, otóż teraz, gdy podwieczorek będzie niedługo, oddaję ci ten list, pamiętaj więc, żebyś go przy wszystkich oddał pannie Halinie. Rozumiesz?

Walek *(przyglądając się serwecie z daleka)*.

Co ni mam rozumieć, a dyć rozumie.

Wacio.

Więc bierz ten list *(oddaje mu list)* a nie zgub, pamiętaj jak się dobrze sprawisz, to ci daruję ten niebieski krawat.

Walek *(zajęty ciągle stołem)*.

No, no, niech się ta panic nie turbuje *(bierze list i kładzie na małym stoliku na książkach)* juz się sprawie jak nalezy i list oddam.

Wacio.

I powiesz, że go przyniósł jakiś posłaniec? Bo to widzisz tak dla żartu.

Walek.

A bogać, toć mi to panic juz gadoł, zeby tak powiedzieć, to i powiem.

Wacio.

Ale tego przecie nie powiesz, że to ja ci kazałem tak powiedzieć? przepadłby cały żart.

Walek *(z zadowoleniem patrzy na serwetę)*.

Psecie ze juz akurat, a to ci jednak dobze się sprawiłem.

Wacio *(niecierpliwie)*.

Słuchaj co ja mówię, więc nie powiesz?

Walek.

La Boga! co mam gadać, niechze juz panic raz mi głowy nie zawraca, bo mi wej tak się wsystko w koło mąci, ze wezmę i zabacę.

(głos za sceną).

Walek! a czy ty dziś przyjdziesz? Czekasz pewnie, żebym ja poszedł po ciebie; oj, to ci będzie niezdrowo.

Wacio.

No, już odchodzę, bo widzę, że się śpieszysz; mój Walku, mój Walusiu, tylko się spraw dobrze, żeby się nam żart udał.

Walek.

Dobze, dobze, a to cyste utrapienie, i z listem, i z Pawłem, i z syrwytą, cłek dycht łeb straci *(wychodzi, po chwili wraca z tacą, ze szklankami i filiżankami i niezgrabnie rozstawia je na stole)*.

Scena III cia.

Walek i Jagusia.

Jagusia.

Czy wszystko gotowe już do podwieczorku? widzę, że jeszcze nie; już to kochany Waluś, to się zawsze uwija, jak mucha w ukropie.

Walek *(ocierając twarz rękawem)*.

Dobze tak Jagusi mówić, spacyruje sobie z izby do izby i tyla, a tu cłek ledwie łba nie straci z tym Pawłem utrapieńcem.

Jagusia *(poprawiając na stole)*.

Dobrze, że głowy nie tracisz, tylko łeb, mniejsza tam o niego. No, ruszaj po samowar, już ja tu poprawię, a potém pójdziesz po kawę i śmietankę.

Walek.

A wsyśtko ja, ten Paweł to ino sobie siedzi i donderuje, nigdy nic nie robi.

Jagusia.

Jeszcze ci źle, żeś taka ważna osoba; oj ty, ty, próżniaku, jakbyś nie wiedział, że Paweł dziś jedzie do miasta i to natychmiast, bo wypadł dziedzicowi pilny interes, więc ci tylko wszystko powydaje i zaraz jedzie. No idź, idź, ja tu wszystko do kawy poprzynoszę, a śpiesz się.

Walek.

To próżnica, zeby to człowiek wsystko psecierpiał; ja ta sobie pójdę w świat od tego lokajstwa, bo się tu napracuję gozej wołu *(wychodzi, wraca za chwilę z samowarem, stawia go na małym stoliczku poza stołem, potém przynosi kawę i śmietankę)*.

Jagusia *(ustawiając na stole)*.

Muszę wyręczyć dziś Pawła, bo ten niezdara to sobie nie da rady z pewnością, a mamy gości; bardzo to miłe te panienki z Rydzewa, a i ta ich kuzynka Micia także mi się podoba *(przechodzi koło okna i wygląda)*. A i pan Roman przyjechał, to także grzeczny kawaler, a powiadają o nim, że strasznie mądry, podobno i po chińsku mówić potrafi *(słychać gwar i śmiechy*

Krajobraz szwajcarski.

za sceną). Ot, już idą, ale też i wszystko gotowe, mogą przyjść, jak na teraz, to myślę, że tu nie jestem potrzebna, muszę dziś pani porurkować czepeczki i kaftaniki *(wychodzi).*

Scena IV-ta.

Panna Derbé, Halinka, Jadwinia, Ecia, Janinka, Zosia, Roman, Zdziś, Wacio *(wchodzą rozmawiając głośno).*

Jadwinia *(stając przy stole).*

Mam więc dziś spełniać ważną rolę gospodyni domu, mama zostawia nam zupełną swobodę, pod okiem panny Derbé.

Janka.

Która, mówiąc nawiasem, ubawi się wybornie, nie rozumiejąc ani słowa po polsku.

Wacio.

Myślę, że Halinka z przyjemnością będzie jéj dotrzymywać towarzystwa.

Halinka.

Ani myślę o tém.

P. Derbé *(jest to osoba nie bardzo młoda, ubrana pretensyonalnie, sztywna i nieufnie spoglądająca po wszystkich. Siada na pierwszém miejscu, stawia przed sobą koszyczek z robotą, w którym znajduje się i książka,*

wyjmuje ją, kładzie po drugiéj stronie koszyczka, a wszystko to robi powoli, uważnie, podczas gdy młodzież rozmawia wesoło. Potém zwraca się do Jadwini i mówi dość głośno i poważnie).

Donnez moi s'il vous plait une tasse de thé.

JANKA *(stając przy Jadwini).*

Zdaje mi się, że jestem na dworcu kolei, sama nie wiem, dla czego tak raptem doznałam tego wrażenia.

ZOSIA.

Pewnie po wygłoszeniu tego żądania.

JADWINIA *(podając filiżankę pannie Derbé).*

Mademoiselle....

MICIA.

Jaka szkoda, że panna Justyna wyjechała, takby nam pomogła do wesołéj zabawy.

ECIA *(zbliżając się do Mici).*

Te szkaradne wakacye zawsze ją nam zabierają na kilka tygodni.

JADWINIA.

Każdy wypoczynku potrzebuje, a my pracujemy nie na żarty.

(d. c. n).

Korespondencya Wieczorów Rodzinnych.

Szanowna Redakcyo!

Jak szybko czas leci! Czyż dawno byłem wśród starych krakowskich murów, żyjąc tylko wspomnieniami przeszłości? czy dawnom się napawał świeżością i czystością tatrzańskiego powietrza, przysłuchując się piosence, wygrywanéj na fujarce przez górala pastuszka, to rzewnéj i smętnéj, to znów pełnéj szumnego wesela i nadziei. A teraz wśród miejskiéj wrzawy ślęczę nad tworami ślepego Homera i znowu żyję wspomnieniami. Najpierw przepraszam za list tak nieporządny, z kawałków zlepiony, zaczynałem bowiem kilka razy pisanie, a nawał nauki dokończyć nie pozwalał. Postanowiłem jednak, jak umiem i mogę, przelać choć część mych wrażeń na papier i podzielić się niemi z szanowną redakcyą.

Przy przejeździe austryackiéj granicy serce mi biło na myśl, że za parę godzin ujrzę Kraków, ową starożytną siedzibę królów polskich, skarbnicę tylu pamiątek. Zatrzymaliśmy się w hotelu, na historycznéj Floryańskiéj ulicy, po któréj tyle trymfalnych i smutnych pochodów przechodziło; a pierwszą pamiątką, jaką zobaczyłem w Krakowie, była brama Floryańska — niemy świadek dziejów Polski. Wieleby ona mogła nam opowiedzieć, czego w żadnéj historyi nie znajdziemy! Opisywać Krakowa nie będę, nie byłbym nawet zdolnym wyrazić wrażeń, a jakie były, łatwo się domyśleć. Nadmienię tylko, że zabawiliśmy dni cztery i byliśmy na uroczystości „wianków", na nasze szczęście odłożonéj na kilka dni z powodu niepogody.

Z Krakowa do Krynicy jechaliśmy 12 godzin, jedną z najwięcéj malowniczych kolei Galicyi. Szczególnie ładne są widoki od miasta Grybowa, kiedy przejeżdża się przez góry z doliny rzeki Białéj do doliny Popradu. Cudnież zaiste to widoki! Przed oczyma naszemi rozpościera się głęboka dolina, a w niéj toczy rwące swe wody groźny Poprad; po obydwóch jego brzegach łąki, a na nich pasie się bydełko. Albo znowu kolej przerzyna dolinę na samym brzegu rzeki; w około góry, do nich gdzieniegdzie poprzylepiane chaty lub wioski góralskie, tulące się w objęcia matek swych gór, które je żywią, jak karmi matka swe ukochane dziecię. Napawam się cudną przyrodą, wtém robi się ciemno — to tunel; ale ciemności trwają niedługo i znowu widzi się fale i góry, u stóp ich krzyże ubrane w kwiaty, znać, że tu żyją chrześcijanie i składają dzięki Najwyższemu za Jego dobrodziejstwa.

Nakoniec przyjechaliśmy do Krynicy - Muszyny; ztąd już tylko godzina drogi do zdroju. Szybko przeleciała ta godzina na góralskim wózku, wśród gór i dolin, przy dźwięku gry górala, śpiewu ptaków, szumu strumieni! Nagle z jednego pagórka ujrzeliśmy całą Krynicę: kilkanaście domów rozrzuconych po górach, nad niemi królujący kościołek w ślicznem położeniu na łące, dwa białe gmachy kąpielowe, a nad niemi czarny las, nęcący swoją tajemniczością.

Jak tylko zajechaliśmy do hotelu, przebrałem się i zaraz poszedłem do owego tajemniczego lasu, co mnie tak nęcił. I jakież było moje zdziwienie, gdy wśród gęstwiny ujrzałem wygodnie porobione drogi, prowadzące aż do połowy wysokości góry, a tu znajduje się łączka, zwana Michasiową, niewielka coprawda, ale pokryta bujną trawą, wśród któréj wychylają swe pokorne główki polne maki, pyszne astry i inne kwiaty, tworząc taki cudny kobierzec, jakiego żadna ręka ludzka wyrobić nie może. Tuż pod Michasiową znajduje się posąg Matki Boskiéj, rozpościerającéj swe opiekuńcze dłonie nad leżącym pod nią w dolinie zdrojem, jakby błogosławiąc tym, co z Bogiem zaczęli kuracyą. Dziwne i urocze zarazem zestawienie przyrody z pracą rąk ludzkich, tak harmonijnie tu połączonych!

Za Michasiową stroma góra i gęsty las, przedłużający się do wierzchołka góry. Byłem na nim kilka razy; jednego ranka spędzonego na nim nie zapomnę nigdy. Wyszedłem nagle z ciemnego lasu; blask rannego słońca i tysiąca błyszczących brylantów rosy oślepiły mnie. Jeszczem dobrze się nie rozejrzał, ucho moje napawało się śpiewem natury, szumem lasu, piosnką ptaków i grą górala-pastuszka. Nakoniec ochłonąłem z pierwszego wrażenia i spojrzałem dokoła: przedemną hala, a na niéj pasą się krówki, strącając z trawy brylanty, które błysnąwszy silniéj ostatni raz, gasną, jak gaśnie płomyk dogorywającego życia; za halą kłosy owsa, zasianego przez pracowitego górala, kołyszą się i falują, jak powierzchnia morza. A za tém wszystkiém góry i góry... Słowem widok nie do opisania, widok, który na zawsze wyrył się w méj pamięci.

Oprócz Michasiowéj jest jeszcze parę łączek, jako to Janówka, Edwardówka i t. p. Z tych ostatnia bardzo mi się podobała i była często celem mych wycieczek, może dla tego, że mi przypominała Kraszewskiego, gdyż on najczęściéj tam siadywał. Stoi tam teraz jego pomnik (popiersie) i to miejsce nosi nazwę ustronia Kraszewskiego. Kto wie, może niejednę myśl do powieści powziął nasz mistrz, patrząc na uroczą łąkę, wpatrując się w ciemny las, za nią się rozpościerający.

Życie w Krynicy płynęło mniéj więcéj jednostajnie. Jedna tylko dalsza wycieczka przerwała monotonność naszego życia. Była to wycieczka na Jaworzynę, najwyższą górę w okolicy.

Ach! co za urocza nazwa: góry! Wieleż w tym wyrazie piękności i tajemniczości, któréj jeszcze nie znałem, gdy w czasie naszéj wycieczki oddaliłem się z kolegami od wózków, z zamiarem dojścia do Jaworzyny krótszą drogą. Zdawało się nam łatwą rzeczą zejść z góry do doliny, pokrytéj gęstym lasem i znowu wejść na Jaworzynę, przedzierając się przez gąszcz leśny! przypłaciliśmy nasze niedoświadczenie na szczęście tylko strachem, gdyż spotkaliśmy górala, który nas doprowadził do wózków, gdzie zasłużona bura nas nie minęła. Gdybyśmy nie spotkali górala, kto wie, czybym pisał teraz te banialuki. Droga na górę była bardzo niewygodna, ale widok z jéj wierzchołka kazał nam zapomnieć o niewygodach podróży. Zaiste majestatyczny to widok! Wzrok nasz obejmuje odrazu kilkunasto-milową przestrzeń, na granicy któréj bieleją śnieżne wierzchołki Tatr, okalając krajobraz, jakby koronką. Przed niemi coraz to niższe pasma Karpatów. Potém obszerna dolina, którą przerzyna tor kolei, wijący się, jak żmija i znikający wśród tajemniczych gór. A koło toru kolei, któryśmy mogli oznaczyć po ruchach idącego pociągu, płynie srebrną wstęgą Poprad.

Na wierzchołku zabawiliśmy parę godzin i wróciliśmy do domu inną drogą, schodząc z góry piechotą dla bezpieczeństwa. Zaraz koło samego wierzchołka napotkaliśmy skałę, która swoim dziwacznym kształtem zwróciła moję uwagę. Wygląda jakby dwa ogromne kamienie, położone jeden na drugim, z których dolny jest mniejszy. Podanie mówi, że

Boruta pod tą skałą ukrył swoje skarby. Nieco niżéj napotkaliśmy przepaść, też upiększoną podaniem — ma to być tunel, prowadzący do Nowego Sącza, o 5 mil odległego. Podobno nawet byli ochotnicy, co chcieli tam wejść, ale przepaści spotykające się na drodze i labirynty, wijące się w tym tunelu, nie pozwoliły im dopiąć zamierzonego celu.

Piękny to i poetyczny ten lud góralski, i swą powierzchownością, i uczuciami. Kocha on swoje góry-karmicielki i choć je porzuci dla chleba, wraca do nich, choćby mu się najlepiéj wiodło zdala od nich. Przykład tego miałem na jednym naszym woźnicy, który był aż w Ameryce i dobrze mu się tam powodziło, mimo tego wrócił do swych gór ukochanych, bo tęsknił za niemi.

W Krynicy bawiliśmy do 13 Sierpnia, poczém wyjechaliśmy do Krakowa, gdzie zabawiliśmy 10 dni. Przez ten czas zwiedziliśmy Wieliczkę.

I tak przeszły wakacye pełne wrażeń, a ja o wiele zdrowszy wróciłem do domu, zawadziwszy o Częstochowę, by podziękować Najświętszéj Panience za łaski, które od niéj odebrałem. A tu zabrałem się do pracy, która była tak wielka, że teraz dopiéro we święta zaczęty we Wrześniu list ukończyć mogłem. Polecam się pamięci i życzliwości szanownéj redakcyi.

Liść herbaciany.

ZIEMIA OGNISTA.

Przygody podróżników na morzu i lądzie.

przez **Mayne-Reid'a.**

(Dalszy ciąg).

VI.

Na lądzie.

Burza srożyła się ciągle i wicher gwałtowny nie ustawał. Położenie wątłych łódek na rozhukaném morzu wcale nie było bezpieczne; co chwila zagrażał im ten sam los, jaki spotkał okręt Kalypso. Tylko tacy doświadczeni marynarze zręcznością nadzwyczajną i nieustraszoną odwagą mogli je uratować. W szalupie, oprócz kapitana i jego rodziny, siedziało trzech majtków, kucharz imieniem Poluks i sternik Lyons, pomieścili się wprawdzie, lecz mała łódka zaledwie udźwignąć mogła ten ciężar i zapadała w morze prawie po same brzegi. Kapitan sam kierował rudlem, żona i córka tuliły się do niego, inni robili wiosłami, oprócz kucharza, któremu kazano wylewać wodę z dna łodzi, a miał z tém roboty niemało.

Ned sterował dużą łodzią żaglową, miał do pomocy dziesięciu ludzi. Łódź ta była obszerniejsza daleko od szalupy, mocno zbudowana, zabrano też na nią trochę zapasów żywności. Gdyby kapitan był poszedł za głosem serca, byłby na téj łodzi umieścił żonę i córkę; sam jednak, jako dowódca, z obowiązku musiał wsiąść na szalupę, a kobiety za nic rozłączać się z nim nie chciały, więc je zabrał z sobą. Henryk Chester zajmował małą łódkę w towarzystwie cieśli Seagriffa i pięciu majtków.

Wszyscy usiłowali zastosować się do rozkazu kapitana i kierować łodzie w stronę przylądka, ukazującego się na lewo. Lecz zamiar i wykonanie, to dwie różne rzeczy; wśród takiéj burzy dość już było trudno wątłe łódki utrzymać na morzu i ustrzedz od zatonięcia, o kierowaniu ich mowy być nie mogło. Zawsze jednak gorliwe usiłowania dużo znaczą, dowiódł tego Henryk Chester, który ani na chwilę nie zapomniał o rozporządzeniu kapitana, aby wszystkie łodzie trzymały się o ile możności blizko siebie. On też wcale nie stracił z oczu szalupy, podczas gdy Ned Ganey, który zapewne nie tak ściśle stosował się do tego polecenia, znikł wkrótce ze swoją łodzią w kierunku południowym.

Przybić do przylądka było niepodobieństwem. Gwałtowny prąd morski pędził łodzie w stronę przeciwną, pomimo nadludzkich wysileń wioślarzy, a w danych okolicznościach było to zapewne wielkiém szczęściem dla nich, gdyż i tu napotkaliby niewątpliwie na drodze owe straszne rafy, ciągnące się wszędzie wzdłuż wybrzeży. Te ostre cyple, wynurzone ponad wodą, pokryte pianą huczącą, wyglądały z daleka, jakby gromada psów zajadłych, strzegących tego tajemniczego lądu.

Żeglarze nasi na szalupie i łódce przestali już myśleć o kierowaniu wątłych swych statków i wszystkie siły wytężyli tylko na to, aby je utrzymać w równowadze i wypróżniać z wody, zalewającéj je ustawicznie. Przylądek, który widzieli w stronie wschodniéj, znikł wkrótce pośród mgły, musieli nawet znacznie oddalić się od niego, zauważyli bowiem, że morze całkiem odmienny pozór przybrało. Bałwany nie podnosiły się tak wysoko, wiatr ucichł, a co było najważniejsze, straszliwe rafy nigdzie się nie ukazywały na widnokręgu.

Morze uspokoiło się wkrótce o tyle, że obie łodzie mogły się zbliżyć do siebie na odległość głosu; tém przykrzejsze wrażenie wywarło na wszystkich zniknięcie wielkiéj łodzi.

Kapitan rozkazał sterować wprost na północ, przekonany był bowiem, że ziemia znajduje się w téj stronie, chociaż jéj dojrzeć nie było można. Przewidywanie to ziściło się w zupełności, nie upłynął i kwadrans, gdy ujrzano w oddali nizkie wybrzeże lądu.

Zrozumiano teraz, jaki był powód ciszy niezwykłéj, panującéj w téj okolicy, gdy ujrzano przed sobą ogromne ławice olbrzymich wodorostów z rodzaju szuwarów, *fucus*.

Szczególne te rośliny morskie mają łodygi zaledwie cala w średnicy dochodzące, lecz rozrastają się tak gęsto i obficie, że tworzą warstwy na 40 i 50 metrów grube, często też tamują drogę okrętom i powstrzymują gwałtowność bałwanów. Są to prawdziwe lasy morskie.

Dwie łódki, zbliżywszy się do tych ławic roślinnych, były zupełnie bezpieczne, cisza otaczała je dokoła. Niemała to była korzyść po przebyciu tak burzliwéj przeprawy, to też wszyscy lżéj odetchnęli, lecz po chwili nowy niepokój ich ogarnął: jakim sposobem przebyć tę zaporę, aby dotrzeć do lądu?

Stary Seagriff, który już nieraz żeglował w tych okolicach, najniespodzianiéj rozstrzygnął tę zagadkę. Wyszedł poprostu z łódki i zaczął się przechadzać po powierzchni ławicy wodorostów, jakby po asfaltowym chodniku. Wiedział on z doświadczenia, że las ten morski nie ugnie się pod nim, nieraz bowiem gęste sploty wodorostów podnoszą z dna morskiego ciężkie kamienie i dźwigają je aż na powierzchnią wody.

W każdym razie dziwny był widok tego starca, przechadzającego się po wodzie, która mu po kolana sięgała; wyglądało to z daleka na jakieś czarodziejskie sztuki. Kapitan i Henryk bacznie nań patrzali, przekonani, że nie czyni tego bez powodu.

W rzeczy saméj stary Seagriff oglądał starannie ławicę szuwarów, szukając ścieżki wśród tego lasu, a mówiąc wyraźniéj, kanału pośród gęstwiny, przez który łodzie mogłyby się przecisnąć i dobić do lądu.

Nadzieja go nie omyliła, przypływy i odpływy morskie zawsze wśród zbitéj masy wodorostów torują sobie drogę swobodną; doprowadziwszy więc do końca poszukiwania swoje, Seagriff powrócił do łodzi i wskazał Henrykowi, gdzie ją ma skierować, aby na kanał natrafić. Szalupa popłynęła w ślad za łodzią i wkrótce oba statki przeciskały się pomiędzy szuwarami wązką, lecz dość wygodną drogą wodną. Majtkowie gorliwie robili wiosłami, i w ciągu dwudziestu minut obie łódki przebyły szczęśliwie las wodorostów, a następnie wpłynęły do małéj odnogi, zupełnie zabezpieczonéj od gwałtowności fal morskich i przybiły do piaszczystego wybrzeża.

Rozbitki wyobrażali sobie zrazu, że dostali się na brzeg stałego lądu, to jest do Ziemi Ognistéj. Przekonali się jednak wkrótce, że znajdują się na małéj wysepce, która mogła mieć około mili rozległości w średnicy i do siedmiu lub ośmiuset stóp wysokości nad poziomem morza. Na wyspie téj nie było wcale drzew, grunt jéj bagnisty całkowicie był pokryty olbrzymią trawą osobliwszego gatunku, właściwą téj okolicy. Trawa ta zwana *tussak*, a w języku naukowym *dactylis cespitosa*, wyrasta kępiasto, wypuszczając obfite źdźbła i liście. Źdźbła sterczą wysoko, podtrzymując okazałe wiechy kwiatowe, a długie liście zwieszają się gęsto dokoła. Krzaki te zwykle wyrastają pojedynczo, w pewnych odstępach jedne od drugich, i z daleka wyglądają, jak małe pagórki lub kupki siana, porozkładane na łące.

Żeglarze nasi nie zważali wcale w téj chwili na osobliwą roślinność wyspy. Pierwszém staraniem kapitana i Henryka było urządzenie tymczasowego obozowiska, a usadowiwszy wygodnie kobiety, zostawili je pod opieką majtków, sami zaś weszli na szczyt poblizkiego wzgórza i pilnie wypatrywali, czy nie dostrzegą na morzu śladów wielkiéj łodzi Neda.

Napróżno jednak zwracali wzrok w rozmaite strony, oglądali cały widnokrąg, rozjaśniony w téj chwili ostatniemi promieniami zachodzącego słońca, nigdzie nie dopatrzyli nic podobnego do statku. W stronie północnéj i zachodniéj, gdzie okiem zajrzeć, wszędzie ciągnęły się rzędem straszliwe rafy, tworząc smugę białéj piany na morzu, stosownie do swéj nazwy „Drogi mlecznéj".

Wkrótce słońce skryło się poza linią widnokręgu i noc bardzo prędko zapadła. Kapitan i teraz jeszcze tęsknym wzrokiem spoglądał na morze, sądził, że ujrzy w oddali czerwoną latarnię, którą łódź Neda była zaopatrzona. Lecz nadzieje spełzły na niczém.

Gdy kapitan z Henrykiem powrócili do obozu, obie panie siedziały pod małym namiotem z płótna żaglowego, które majtkowie rozpięli na kilku wiosłach. Posilono się bardzo niedostatecznie żywnością, zabraną naprędce z okrętu, przesiąkniętą wodą morską. Potém gromadka rozbitków, ulegając strasznemu znużeniu, we śnie szukała odpoczynku. Każdy jak mógł ułożył się na piasku i po chwili wszyscy spali snem głębokim.

Wszyscy, oprócz dwóch ludzi, którzy czuwali nad bezpieczeństwem reszty. Kapitan i stary Seagriff nie spali długo w noc, następnie zbudzili Henryka i jednego z majtków, aby ich miejsca zajęli.

Nic nadzwyczajnego nie wydarzyło się téj pierwszéj nocy, spędzonéj przez rozbitków na wyspie. Gdy wschodzące słońce zajaśniało na niebie, wszyscy przebudzili się zdrowi, pokrzepieni, wszyscy przedewszystkiém czuli potrzebę śniadania.

Na nieszczęście zapasy żywności wcale nie były obfite, zwłaszcza w stosunku do ilości gąb, która do piętnastu dochodziła. Wieczerza wczorajsza znacznie nadwerężyła te zapasy, które składały się w ogóle z beczułki sucharów, przemoczonych słoną wodą morską, kawała wędzonego mięsa, małego woreczka kawy, funta herbaty i głowy cukru. Co do naczyń kuchennych, odszukano na dnie łódek patelnię, rondelek i imbryk do kawy.

Najpierw trzeba było pomyśleć o roznieceniu ognia, a zkąd tu wziąć paliwa na téj wysepce, gdzie drzewa nie rosną i wszelka roślinność przesiąknięta jest wodą, gdzie grunt wygląda na jedno rozległe bagno? Nie brakło wprawdzie zapałek, krzesiwa i hubki, każdy z majtków miał te przybory w kieszeni do zapalania fajki. Zapałki jednak nie wiele warte bez drzewa lub węgla.

(*d. c. n.*)

SZARADA (Antylopa).

Pierwszego z drugiem nawet w zabawie
Nie drażnij nigdy, bo choć układny,
Chociaż spogląda na cię łaskawie,
Jednak, pamiętaj, że bywa zdradny.
Pierwsza i trzecia jest drzew odzieniem,
Czasem pomaga poznać ich lata,
Więc ją szanujmy, bo pod drzew cieniem
Niejedna chwilka mile ulata.
Trzecia zaś z *drugą*, gdy zwłaszcza blizka,
Jest dla dłużników chwilą cierpienia,
Nieraz ubogim serce się ściska,
Bo im zagraża utrata mienia.
Wszystka dla śpiących przyjemna bywa,
Blask ócz nie razi, cisza panuje,
Gdy pod osłoną jéj się spoczywa,
Senne marzenie miléj się snuje.

Łamigłówka zgłoskowa.

(Jerzy nka z Drewnicy dla Wacia W.)

Z następujących zgłosek: a—a—bia—bis—i—ko—li—li—łów—min—na—na—na—o—par—ra—rok—stok—zbo—y ułożyć wyrazy: 1. Część domu. 2. Imię żeńskie. 3. Miara czasu. 4. Metal. 5. Miasto w Europie. 6. Ptak. 7. Przyrząd do szycia. 8. Kraj w Azyi. Początkowe litery, od góry do dołu, utworzą imię, a końcowe w tym samym kierunku, nazwisko autorki polskiéj nieżyjącéj, która pisała także dla młodzieży.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 6-go.

Homonimów:

Bez.

Czarodziejskiéj sztuczki:

Odjąć litery, z których się składają wyrazy: *koza*, *kosa*, *parobek*, a zostanie *sekta*.

TREŚĆ: Doświadczenie fizyczne (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo, powieść przez autorkę Reginki (c. d.). — Krajobraz szwajcarski (z drzew.). — Sprytny Walek komedyjka w trzech aktach p. Kazimierę. — Korespondencya Wieczorów Rodzinnych. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Łamigłówki rozwiązania. **W Dodatku:** Zima na północy (z drzew.) — Ciekawość ukarana wierszyk p. M. Z. — Kolenda, p. Iskierki z Konar. — Wieczór Trzech Króli p. Zofią Urbanowską. — Łamigłówka i rozwiązanie. — Skrzynka do listów **Dodatek książkowy:** Przygody młodego chłopca w szkołach, z francuzkiego.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Февраля 1886 г. Redaktorka i wydawczyni **Ludwika Hauke.**

W drukarni Noskowskiego, Mazowiecka Nr 11.

ZIMA NA PÓŁNOCY.

Patrzcie, jak pędzą po śniegu saneczki; siedzi w nich człowiek, dobrze otulony, bo zimno tam straszne, gdyby tylko na chwilkę uszy lub nos odsłonił, toby mu zaraz odmarzły. Gdy splunie, zamiast śliny, na ziemię upada kawałek lodu. Oj! straszna tam zima na dalekiéj północy, pod biegunem. Do saneczek zaprzęgnięte są pieski, bo koniki nie zniosłyby takiego mrozu, poczciwe pieski wytrzymalsze są, i na mróz, i na głód. Tam nie byłoby czém wykarmić koników, bo na dalekiéj północy nie rośnie ani owies, ani trawa na siano, tylko mech. Pieski ogryzają kości, jedzą ryby i to im wystarcza, koniowi trzeba lepszego pokarmu.

Zima na północy.

A oto znów foka siedzi sobie na wybrzeżu i spogląda na morze. Foka może żyć i na lądzie, i w wodzie, jest stworzeniem ziemnowodném. Ma ona na sobie wyborne futerko, które nie przemaka, a razem i grzeje. Ludzie też polują na foki dla tych futerek, bo i oni potrzebują ciepłego okrycia od zimna. Jedzą także mięso foki, a tłuszcz jéj służy do lamp oprócz tego.

Zima daleko mroźniejsza od naszéj trwa na północy prawie przez rok cały; latem na krótko tylko słońce zaczyna troszkę więcéj przygrzewać, lody i śniegi topnieją, nie zupełnie jednak, i znów niezadługo wszystko zamarza na nowo. Dni i nocy trwają tam bardzo długo, po kilka miesięcy. Gdy u nas w zimie dni są krótsze, to u mieszkańców północnych, podbiegunowych krajów, wcale noc nie ustaje i słońce nie wschodzi, tylko często pokazuje się piękne światło czerwone na niebie. To się nazywa zorza północna. Potém znów, gdy u nas latem dni dłuższe od nocy, tam słońce nie zachodzi wcale i świeci ciągle przez kilka miesięcy.

CIEKAWOŚĆ UKARANA.

Filuś, piesek śliczny, młody,
Często w domu płatał szkody;
Nie z łakomstwa przecież wcale,
Lecz z swawoli, gdy w zapale
W skokach, figlach, przebrał miarę.
Miał też Filuś swą przywarę,
Był ciekawy niesłychanie,
Ani myśląc, co się stanie,
Musiał wszędzie wścibić nosa;
Już go raz ukłóła osa,
Gdy jéj nosem dotknął śmiało,
A raz, gdy się nos wścibiało
W szparę we drzwiach niedomkniętą,
To nos drzwiami przyskrzypnięto.
Jednak, mimo te przypadki,
I przestrogi Cytry-matki,
I moralne jéj nauki,
Filuś płatał swoje sztuki.

Foka.

Raz, do kuchni wpadłszy skrycie,
Plądrując ją należycie,
Kiedy z kąta w kątek bieży,
Patrzy, aż kobiałka leży.
Tak zamknięta doskonale,
Że nie widać wnętrza wcale;
A tam przecież coś być musi,
Więc ciekawość pieska kusi,
Filuś węszy, drapie, skrobie,
Aż wsunąwszy łapki obie,
Wierzch oderwał, kosz upada...,
Oj Filusiu, biada, biada!
Raki są tam żywe jeszcze,
Jeden schwycił łapkę w kleszcze,
Krzyczy psina nieszczęśliwa:
Tak ciekawskim zwykle bywa!

M. Z.

KOLENDA.

W każdą niedzielę, u pani O. matki dwóch grzecznych dziewcząteк, Maryni i Helci, zbierało się liczne kółko dzieci.

Jednego razu, gdy się zwykłe towarzystwo zeszło, za-

częto gry różne wymyślać. Zosia i jéj mała siostrzyczka chciały się w ślepą babkę zabawić, lecz nie wszystkie inne dzieci się na to zgadzały. Lola i Gabrynia T. zaproponowały grę w ptaki, lecz starsze dzieci znów nie chciały się tak bawić; Helcia głosowała za chowanką, ale znowu Olenia i Teosia M. i Andzia F. były za kotkiem i myszką.

Wtém Marynia zaproponowała, ażeby popisać nazwiska gier na karteczkach, wrzucić je do woreczka, i żeby najmłodsze z dzieci ciągnęło. Los padł na „Chowanego". Gdy się dzieci dobrze nabawiły i zmęczyły, Maryni przyszło do głowy, ażeby usiąść i bawić się jak dorosłe osoby rozmową. Wszystkie panienki się na to zgodziły.

— Ale o czém rozmawiać? — spytała Oleńka. — O lalkach? To jakoś nie tak, jak dorosłe osoby.

Wtedy Marynia się odezwała:

— Kochane przyjaciółki, od jakiegoś czasu ciągle mowa jest przy stole o biedzie, która teraz panuje. Wszyscy starsi się przyczyniają, aby dopomódz biednym ludziom, czybyśmy także nie mogły tego samego uczynić?

— Owszem, owszem, z największą chęcią — odezwało się kilka głosów — ale jak?

Na to odpowiedziała Helcia:

— Dostajemy każda miesięczną pensyą; dajmy choć połowę na kupno barchanu, flaneli, perkalu i tym podobnych rzeczy, a wieczorem zbierzemy się, i będziemy szyły dla biedaków, których teraz pełno, a na kolendę rozdamy naszę robotę biednym dzieciom.

— O tak, tak zrobimy — zawołały wszystkie panienki, a Teosia dodała:

— Nasza nauczycielka zna krój doskonale, poprosimy jéj, żeby nam kupiła materyały potrzebne, i żeby przygotowała robotę.

Gdy dziewczynki skończyły naradę, poszły do pani O. i opowiedziały jéj co umyśliły. Ona bardzo ten zamiar pochwaliła i podjęła się prosić o pozwolenie innych matek, żeby dziewczynki się zbierały parę razy na tydzień.

Gdy wszystkie mamy się na to zgodziły, panienki poszły razem prosić panny T. (nauczycielki Olenki i Teosi) żeby była łaskawa im kupić za zebrane pieniądze barchanu, perkalu i flaneli, i żeby skroiła sukienki i koszulki.

Panna T. spełniła z przyjemnością tę prośbę, i gdy dziewczynki się zebrały w czwartek u pani M. Olenia i Teosia im pokazały sukienki i kosznlki, wykrojone, zafastrygowane i gotowe do szycia. Marynia, jako najstarsza, miała fałszywe obrębki przygotowywać, wszywać rękawy, guziki przyszywać, wykończać jedném słowem.

Młodszych dziewczynek panna T. pytała, jaki ścieg umieją najlepiéj, czy obrębiać, czy zeszywać, a każdéj dała robotę najstosowniejszą dla niéj.

Pani M. przyszedłszy zobaczyć co dziewczątka porabiają, poradziła im, żeby co wieczór jedna z nich coś czytała towarzyszkom na głos. I dodała:

— Dostałam teraz piękną powieść, bardzo stosowną dla was, dam wam ją do wieczornych zebrań.

— O! jaka dobra myśl — krzyknęły dziewczątka chórem — dziękujemy pani bardzo!

— Jestem niezmiernie zadowolona, że mogę wam przyjemność sprawić, kochane dzieci — odrzekła pani M. wychodząc. Za chwilę powróciła, niosąc dwie duże książki.

Marynia zaraz się wzięła do czytania, a pani M. widząc, że dzieci zajmowała książka, wyszła, aby im kazać podać herbatę.

Nazajutrz dziewczynki się zebrały u pani F. następnie u pani O. i tak daléj kolejno. Jednego dnia na zebraniu odezwała się Marynia:

— To wszystko dobrze, mamy zrobionych już ośm sukienek, dziesięć koszulek, pięć czepeczków, cztery fartuszki, a ja dziewiąty kończę kaftanik. Ale komu je damy? Jak się dowiedzieć, kto najwięcéj potrzebuje pomocy? My się o tém nie możemy przekonać.

— Spytamy się naszych matek — rzekła po chwili namysłu Gabrynia T., one nam najlepiéj poradzą.

— Prawda, prawda — zawołały dziewczynki. — Masz słuszność, Gabryniu. Tak też zrobiły, i niedługo dowiedziały się o dzieciach, których rodzice byli w najokropniejszéj nędzy. Nadszedł nareszcie dzień tak oczekiwany Bożego Narodzenia.

W drugie święto dziewczątka zebrały się u państwa M. Ojciec Maryni i Teosi miał dużą kancelaryą, w któréj pozwolił panienkom urządzić choinkę, i rozdać uszyte przez nie ubrania. Każda przyniosła coś dla ozdoby choinki. Marynia i Helcia dały pierników, które dostały na własnéj choince, Andzia jabłuszek od cioci, Lola i Gabrynia orzechów, słowem każda się przyczyniła, aby choinka była ładna. Pod choinką leżały wszystkie ubrania dziecinne. Było po tuzinie koszulek, sukienek, fartuszków, kaftaników i czepeczków.

O piątéj dzieci nadeszły, a panienki, powitawszy je uprzejmie, dały każdemu ubranie, i aby zobaczyć jak leży, ubrały je same. Potém zaprowadzono dzieci do jadalnego pokoju, gdzie pani M. kazała zastawić ucztę prawdziwą dla tych biedaków, którzy nigdy nic podobnego nie jedli. Po tym posiłku, panienki je znów zaprowadziły do pokoju, w którym stała choinka i tam się razem z niemi bawiły aż do ósméj godziny. Wtedy dziewczątka dały każdemu z dzieci paczkę pierników, jabłek, orzechów i innych łakoci, a dzieci odchodząc błogosławiły po tysiąc razy miłosierne panienki. Gdy biedne dzieci odeszły wkońcu, Marynia rzekła:

— Wiecie co? Dziś czuję się o wiele szczęśliwszą niż wczoraj, chociaż wczoraj dostałam bardzo ładne podarunki na kolendę!

— I my także! — krzyknęły wszystkie jéj towarzyszki. — Nigdyśmy nie były takie szczęśliwe i zadowolone!

Radzę wam, kochane czytelniczki, to samo zrobić; zobaczycie, jak będziecie zadowolone, bo zdarzenie, które opowiadam, jest prawdziwe, a dziewczynki te są wszędzie kochane i błogosławione.

Iskierka z Konar.

Wieczór Trzech Króli.

PRZEZ **Zofią Urbanowską.**

Juraś, ośmioletni synek państwa L. w wybornym był humorze. Mama, chcąc zrobić jemu i siostrzyczce jego